ŚWIATŁO

Rok VIII. Bytom G.-Szl., 1-go Listopada 1894. Nr. 21.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

ZBRODNIA NA KOLEI.

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW KRYMINALNYCH.

Na dworzec kolei w mieście B. przybył nocny pociąg pospieszny. Noc była zimna, ciemna i zanosiło się na burzę. Na szerokim i mało osłoniętym peronie szalał wiatr, świszcząc i wyjąc. Gazowe płomienie w latarniach drgały, rzucając niepewne, słabe światło.

Konduktorzy wyskoczyli ze swych przedziałów, zadowoleni z przybycia do celu, i otwierali drzwi wagonów.

Poczęli z nich wysiadać pasażerowie, znużeni, a jednak pospiesznie starający się schronić przed przejmującym wichrem.

Po chwili wszyscy już prawie opuścili dworzec i konduktorzy, przyświecając sobie latarkami, zaczęli wchodzić do wagonów, ażeby przekonać się, czy w pospiechu nie zostawiono gdzie jakich przedmiotów. Było to ich obowiązkiem instrukcyą przepisanym.

Właśnie konduktor Walter wszedł do wagonu drugiej klasy, gdy nagle ze zdziwieniem spostrzegł w kąciku jakiegoś pana, jak się zdawało, głęboko uśpionego.

Aby go obudzić, najgłośniej jak mógł wymienił nazwę stacyi B., a gdy to pozostało bez skutku, wziął za ramię pasażera i począł nim silnie potrząsać.

Nic to jednakże nie pomagało.

Wówczas Walter zbliżył latarnię do twarzy pasażera i spostrzegł, że był on śmiertelnie blady i że szarawe sukno na siedzeniu było krwią poplamione. Nadto w całym przedziale unosił się silny zapach eteru siarczanego. Wystraszony Walter wziął za rękę podróżnego, lecz ta opadła bezsilna, bez życia.

Przypuszczając jakiś nieszczęśliwy wypadek, konduktor wyskoczył z wagonu i pobiegł do inspektora kolejowego. Ten wraz z kilkoma innymi konduktorami nadbiegł natychmiast i skonstatował, iż nieznajomy otrzymał dwa pchnięcia sztyletem w piersi, ale że jeszcze oddycha.

Inspektor, posławszy po doktora i rozkazawszy przynieść zmarłego do sali, rozpoczął przegląd wagonu. Znalazł w nim w siatce nad siedzeniem niewielki kuferek, widocznie należący do ranionego pasażera, lecz broni, którą rana

była zadaną, nigdzie nie było. Krwawe plamy na siedzeniu i na dywanie wskazywały dość znaczny upływ krwi.

Więcej już żadnych śladów, mogących rzucić jakieś światło na zagadkowy ten wypadek, znaleść się nie udało.

Inspektor polecił wagon zamknąć i do dalszego śledztwa pozostawić w tym stanie, w jakim się znajdował.

Pomiędzy urzędnikami na dworcu zapanowało silne wzruszenie; ponieważ w wagonie nie znaleziono żadnej broni, zatem nie było to samobójstwo, lecz zbrodniczy napad.

Inspektor kazał zawołać do swego gabinetu konduktora Waltera, a gdy ten przybył, zapytał:

— Kto jechał więcej w tym wagonie?

— Nikt.

— Gdzie wsiadł raniony?

— Na stacyi L.

— Czy przez cały czas jechał sam jeden?

— Tak jest; w pociągu mało było podróżnych.

— Czyś nie zauważył pan w jego postępowaniu nic nadzwyczajnego?

— Nie, zdawał się być dość wesoły. Na stacyi W. wysiadł na parę minut, aby wypić szklankę piwa.

— Czy drzwi od wagonu podczas jego nieobecności pozostały otwarte?

— Tak jest.

— W takim razie mógł ktoś obcy wsunąć się do wagonu.

— Nie; to nie mogło nastąpić, gdyż przez cały ten czas stałem w pobliżu i musiałbym to zauważyć. Zamykając drzwi spojrzałem do przedziału i jestem pewny, że nikogo więcej nie było.

— Czy nie zaglądałeś pan już więcej?

Konduktor nie zaraz odpowiedział.

— Owszem, — odparł po chwili; — na stacyi J. zawołano mię z sąsiedniego wagonu, aby otworzyć drzwi, co uczyniłem. W trakcie tego usłyszałem za sobą trzask zamykanych drzwi i obejrzawszy się, widziałem jakiegoś mężczyznę, szybko się oddalającego; z którego jednak przedziału on wysiadł, tego nie wiem; jednakże zobaczywszy, że drzwi od przedziału, w którym znajdował się raniony, tylko na wyższy zamek były zamknięte, sądziłem, że to właśnie on był. Wstąpiwszy na stopień, zajrzałem przez okno, a zobaczywszy go spokojnie w kącie siedzącego, zamknąłem drzwi, jak się należało.

— Dlaczegoś pan nie otworzył drzwi, aby się go zapytać?

— Widziałem go siedzącym i pewny byłem, że nikt tam nie wsiadał. Tego człowieka, co szybko się oddalił, nie widziałem wysiadającego z żadnego wagonu, a co do trzasku, o którym mówiłem, mogłem się łatwo pomylić, gdyż noc była ciemna i dął silny wicher.

— Mówiłeś pan, że drzwi przedziału były tylko na klamkę zamknięte, zatem musiałeś je pan na poprzedniej stacyi źle zamknąć.

— Nie.

— Dolna klamka samaby się nie otworzyła. Dlaczegóż pan nie postarałeś się dowiedzieć, kto ją podniósł?

— Nie pomyślałem o tem i w ogóle nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Mogło się zdarzyć, że w pospiechu tego nie uczyniłem, chociaż silnie przekonany jestem, że na stacyi W. zamknąłem wszystkie drzwi od wagonów tak, jak to być powinno.

— Kto to mógł być ten człowiek, co szybko się oddalił?

— Nie wiem, do moich pasażerów nie należał, gdyż żadnego z nich nie brakowało.

— Dlaczegoś pan nie zawiadomił nadkonduktora?

— O czem miałem zawiadamiać? Że jakiś obcy opuszcza stacyą? Nie mogłem wiedzieć, aby on coś złego popełnił, a i teraz tego nie wiem. Nawet nie byłbym sobie tego przypomniał, gdyby nie to, że dało mi to sposobność spojrzenia do przedziału. Ten człowiek może w tem, co się stało, być rownie niewinny, jak pan, albo ja.

Inspektor zaprzestał dalszego wybadywania; wiedział on dobrze, że konduktor nie miał dostatecznego powodu do składania raportu nadkonduktorowi. Tymczasem nadszedł doktor i wszyscy razem udali się do ranionego, który

ciągle bez ruchu leżał i jak się zdawało, nie odzyskał dotąd przytomności.

Doktor obejrzał dokładnie rany. Było ich dwie, z prawej strony piersi. Za pomocą sondy doktor sprawdzał ich głębokość.

— Czy można go jeszcze uratować? — zapytał inspektor.

Doktor wyprostował się zdziwiony.

— Żadna z tych ran nie jest niebezpieczną, — odpowiedział — obiedwie są niegłębokie, a ponieważ żaden z ważniejszych organów nie jest uszkodzonym, więc są one małoznaczące i wygoją się za kilka dni. Utrata krwi także nie jest wielką i pojąć nie mogę, dlaczego raniony, dość silnie zbudowany, dotąd do przytomności nie powrócił.

Inspektor uwiadomił go, że w przedziale wagonu, gdzie wypadek miał miejsce, dawała się czuć woń eteru siarczanego, na co doktor odpowiedział tylko wzruszeniem ramion i przewiązawszy zaledwie tylko krwawiące się rany, polecił chorego przenieść do lecznicy.

— Czy zniesie on przenoszenie?

— Z pewnością. Każ pan jednak sprowadzić nosze — odpowiedział lekarz.

W obecności inspektora przeszukał doktor kieszenie ubrania. Znaleziona portmonetka zawierała tylko kilka talarów. W dziurce od kamizelki tkwił haczyk od łańcuszka, lecz ani jego, ani zegarka nie było, widocznie więc go zerwano. W bocznej kieszeni tużurka znajdował się mały pugilaresik z wizytowymi biletami, na których był napis: Edward Feldman, przedstawiciel firmy domu Karl Meyer i C-e.

Zatem raniony podróżował w celach handlowych. Wskazywało to zresztą jego ubranie i mały kuferek, na zamku którego wycięty był napis: Edward Feldman. W prawej kieszonce od kamizelki znaleziono małe kluczyki i kwit kolejowy na pakunek.

Po zwilżeniu zimną wodą czoła i skroni raniony otworzył oczy, podniósł się cokolwiek i pytającym wzrokiem powiódłszy dokoła, powiedział:

— Napadł na mnie! Gdzie są moje pieniądze?

— Kto na pana napadł? — pytał się doktor.

— Ten człowiek, ten człowiek! Gdzie są pieniądze?

— Gdzieżeś je pan miał?

— W pugilaresie, w bocznej kieszeni.

— Tam nie było pugilaresu — odezwał się doktor.

Feldman upadł na poduszkę i zamknął oczy. Zdawało się, że nic z tego nie usłyszał. Doktor razem z inspektorem zadali mu jeszcze kilka pytań, lecz ranny leżał bez ruchu.

Sprowadzono nosze i przeniesiono rannego do lecznicy. Zdawał się o niczem nie wiedzieć, co się z nim dzieje, gdyż leżał ciągle bez żadnego poruszenia.

Widocznem było, że Feldman został zrabowanym i że godzono na jego życie. Musiało to mieć miejsce na przestrzeni pomiędzy stacyami W. i J., gdyż na tej ostatniej konduktor Walter widział jakiegoś spiesznie się oddalającego człowieka... Bezwątpienia wyszedł on z przedziału, zajmowanego przez Feldmana; jakim zaś sposobem dostał się do niego, pozostawało zagadką, ponieważ Walter obstawał przy twierdzeniu, że oprócz Feldmana nikogo więcej w przedziale nie było, jego zaś słowom trzeba było wierzyć, gdyż był to człowiek znany z prawości charakteru.

Jeszcze tej samej nocy inspektor zawiadomił o zbrodni policyą i sędziego śledczego.

Raniutko następnego dnia udał się komisarz policyjny Potter, któremu polecono dochodzenie tej sprawy, do domu zdrowia, dokąd zaniesiono ranionego. Do tej pory Feldman leżał wciąż bez ruchu. Gdy doktor miejscowy wraz z komisarzem weszli do jego pokoju, powoli podniósł powieki. Potter oznajmił mu cel swego przybycia i prosił go o szczegółowe opowiedzenie wypadku.

Podtrzymywany przez doktora, ranny podniósł cokolwiek głowę i słabym głosem, powoli, z częstymi przestankami, opowiedział, że nazywa się Feldman i po-

dróżuje w interesach handlowych domu Karl Meyer et C-ie w mieście H., dokąd obecnie powracał, ukończywszy swe czynności. Na stacyi W. wysiadł, aby wypić szklankę piwa, a powróciwszy znużony, oparł się o poduszki, aby zasnąć. Słyszał wybornie znak dany do wyrulepszego, musi tak dojechać do następnej stacyi, aby tam powrócić na swoje miejsce. Znużony Feldman mało zwracał na to uwagi i powiedziawszy kilka słów, przymknął powieki i wkrótce usnął. Nagle uczuł się silnie za gardło ściśniętym... Obudził się i ujrzał pochylonego



SYNGALEZKA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336).

szenia i pociąg już był w biegu, gdy tuż przy nim drzwi wagonu z przeciwnej strony stacyi otworzono i jakiś człowiek szybko do przedziału wskoczył. Powiedział na swoje usprawiedliwienie, że opuściwszy na chwilę swój wagon, nie mógł go odnaleść i wskoczywszy do pierwszego nad sobą mężczyznę, który jedną ręką dusił go, a drugą przytykał mu do twarzy chustkę, napojoną eterem siarczanym. Krzyczeć nie mógł pod silnym naciskiem, wkrótce zaś utracił przytomność. Co się dalej stało, nic nie wie.

— Czy to pana nie zadziwiło, że

ten człowiek wsiadł nie od strony stacyi? — zapytał się komisarz.

— Owszem, lecz mi przyczynę tego wyjaśnił, a byłem zanadto śpiący, aby nad tem się zastanawiać.

— Nie doznałeś pan żadnej obawy?

— Bynajmniej, oddawna już podróżuję po rozmaitych krajach i nigdy nie miałem żadnego wypadku.

— Czy pan dobrze przypomina sobie rysy napastnika?

— Nie, pamiętam tylko, że miał szczególnie długi i spiczasty nos i małe bystre oczy, co się zaś tyczy ubrania, było ono więcej jak skromne.

— Z czego ono się składało?

— O ile mogę sobie przypomnieć, miał on na sobie ciemne palto, szare spodnie i czarny, nizki z szerokiemi skrzydłami kapelusz.

— Pan miałeś w bocznej kieszeni tużurka pugilares?

— Tak jest.

— Z pieniędzmi?

— Tak, było w nim więcej jak 5,000 talarów i w banknotach i przekazach. Zebrałem te pieniądze od kupców, z którymi mamy rachunki, i wiozłem je do naszego domu.

— Czy możesz pan określić sumę dokładnie?

— Teraz tego uczynić nie mogę, lecz w moim kufrze znajduje się książka z notatkami, gdzie wszystko jest zapisane.

— Miałeś pan zegarek i łańcuszek?

— Miałem.

— Jakie one były?

— Łańcuszek był z małych ogniw złożony, zegarek zaś był złoty, dość duży, ze wskazówką, pokazującą sekundy.

— Czy czasem nie wyjmowałeś pan pugilaresu tak, że ten członek mógł go zobaczyć?

— Nie.

Feldman zdawał się coraz więcej słabnąć i odpowiadanie na zapytania przychodziło mu z taką trudnością, że komisarz zaprzestał wybadywania.

Doktór obejrzał rany. Okazały się w jak najlepszym stanie, bez wielkiego śladu zapalenia.

— Czy doznajesz pan jakich boleści?

— Dosyć silnych nawet, przytem oddychać mi trudno, tak jakby płuca były uszkodzone.

— Płuca pańskie są zdrowe zupełnie, a rany wcale nie głębokie — odpowiedział lekarz i zalecając choremu spokojność, opuścił pokój wraz z komisarzem.

— Czy jest jakie niebezpieczeństwo? — spytał komisarz.

— Niema żadnego, a przytem zapalenia tak jakby nie było. Bólu rany wielkiego sprawiać nie mogą i jeżeli Feldman się skarży, to tylko z bojaźni i wewnętrznego wzruszenia, co zresztą jest bardzo naturalnem. Ja sam w przyszłości nie bez obawy będę wsiadał do wagonów kolejowych podczas nocy, gdyż coraz więcej podróż podobna staje się niebezpieczną.

— Jednakże wypadki podobnego rodzaju należą do bardzo rzadkich i wątpić nie należy, że sprawca odkrytym zostanie, — zauważył komisarz i udał się na kolej, aby odebrać zeznania inspektora i konduktora, oraz dokładnie obejrzyć wagon.

Przy ścisłem w nim poszukiwaniu znaleziono pewną okoliczność, która na odkrycie sprawcy miała ogromny wpływ. Na pasie bowiem, służącym do podnoszenia okna, we drzwiach przeciwległych, znajdowały się wyraźne ślady pokrwawionych palcy, co dowodziło, że albo napastnik wyszedł temi samemi drzwiami, przez które wskoczył do wagonu, albo też spuszczał okno, prawdopodobnie w celu wyrzucenia instrumentu, którym próbował morderstwa dokonać.

(Dokończenie nastąpi.)

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Cicho!... Ostrożnie stąpaj ścieżyną,
Niech się cmentarna gałąź nie skruszy:
Tu biała brzoza z krasną kaliną
Szepcą modlitwy za spokój duszy
I mówią: Wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie!

Tu nawet blade światło miesiąca
Cicho po kwiatów pełza kielichu,
Cicho o listki krzewów potrąca
I drżące, zda się szemrać pocichu
I wzdychać: Wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie!

I tym, co niby te woły w pługu
Przez cały żywot chodzili w znoju,
Pewni, że nigdy winnego długu
Nie spłacą bliźnim, trochę spokoju
Użycz i — wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie!

I wszystkiej swojej wiernej czeladzi,
Co, pomna Ciebie, w doli, niedoli,
O sobie, drugich uczciwie radzi,
W życia się trudzie ciężko mozoli,
O, wszystkiej: wieczne odpoczywanie
Racz dać o Panie!....

DO CZEGO PRZYDATNE FOTOGRAFOWANIE.

Pełno w naszych czasach różnych wynalazków. Mnogo rzeczy połączonych z parą, elektrycznością. Niezliczona liczba machin różnorodnych, sposobów fabrykacyi. Opiera się dziś wszystko na nowych wynalazkach w rzemiosłach, w domu, we warsztatach, drukarniach, farbierniach, w naukach. Nieprzeliczone są wynalazki i sprawy, do których ich użyto.

Pomiędzy wynalazkami sztuka fotografowania zajmuje jedno z pierwszych miejsc, sztuka, skutkiem której za tanie pieniądze można mieć obraz swój lub krewnych i znajomych lub dalekich okolic, spraw i rzeczy, i to obraz nie jeden, lecz liczne, bo z jednego robi się tyle, ile się chce.

Oprócz usług, jakie świadczy fotografowanie, a które są znane każdemu, jest jeszcze fotografowanie przydatne do wielu innych rzeczy, które nie wszystkim są wiadome. Widzicie w »Świetle« wiele obrazków drukowanych. Jak się one robią? Otóż dawniej było trzeba rysunek robić ręką na drzewie lub metalu, stali, miedzi. Potem ręką było trzeba obraz rysowany wyryć, wyrznąć na drzewie lub metalu. Wtenczas kładło się go pomiędzy litery i razem z niemi przepuszczało przez maszynę drukarską, która rysunek czerni i papier na niego przyciska, jeden arkusz po drugim, ile kto chce. I dziś tak samo się robi, tylko rysunku już nie potrzeba wyrzynać na drzewie lub metalu, lecz rzuca się na cynkową płytę fotografią, kładzie płytę w płyn gryzący, który wyźre miejsca obok fotografii tak, iż się staną niższe a fotografia zostaje wywyższona i można nią drukować na papierze. Każdy pojmie, że w ten sposób robi się obrazek szybciej i taniej i łatwiej.

Fotografowanie służy też wielce nauce i uczonym. Lekarze fotografują oczy wewnątrz w zdrowym i chorym stanie i potem spokojnie badają, jak oko jest ułożone, aby wiedzieli, jak się mają z niem obchodzić, jak go leczyć. Fotografowany obraz oka nie jeden lekarz może oglądać, lecz tysiące lekarzy. Tak samo rzecz się ma z innemi częściami ciała, z chorobami. Jeżeli zajdzie jednemu lekarzowi jaki nadzwyczajny wypadek, fotografuje go, a setki i tysiące innych lekarzy ogląda to na obrazku i uczy się z niego.

Można nawet fotografować rzeczy, których oko ludzkie dojrzeć nie może, n. p. prądy powietrzne, dźwięki różne poruszające powietrze, kolory tak delikatne w świetle, że je oczy ludzkie dopiero wtenczas spostrzedz mogą, kiedy są fotografowane.

Zwykle fotograficzne obrazy są ciemne, jednej barwy. Lecz teraz coraz lepiej umieją fotografować tak, że zaraz na fotografii okazuje się rzecz w takich barwach, w jakich jest w rzeczywistości, a więc róża na obrazku fotograficznym ukaże się różowa.

Ciekawa rzecz, jak tam wypatruje na dnie morza. Są tam góry i doliny, jest więcej roślin, aniżeli na ziemi, a rosną ciągle; morze więcej dostarczać może ludziom wyżywienia, aniżeli ląd stały. Na dno morskie spuszczają się nurkowie ubrani w szaty nieprzemakalne, na głowie mają przyłbicę z miedzi, w której są szyby przed oczami, a z której wychodzą dwie rurki gumowe w górę. Rurki te są tak długie, że sięgają po nad wodę. Przez to nurek dostaje powietrze z góry jedną rurką, a drugą oddech jego wychodzi. W ten sposób nurek nie udusi się. Nurek może dziś nie tylko opowiedzieć, jak wypatruje dno morskie, lecz może nawet fotografować i wszyscy mogą się, na ziemi będąc, przekonać, jak jest na dnie morskiem. Pewien Francuz sporządził beczkę napełnioną powietrzem, u góry jest kaptur szklany z knotem umaczanym w okowicie. Za pomocą gumowej piłki, którą się nadusza, sypie się na knot magnezyą, która daje światło tak silne jak słońce, i przy tem świetle można na dnie morza fotografować. Znajdują się tam n. p. całe pola roślin, tak wysokich prawie jak człowiek. Wielkie raki pływają pomiędzy roślinami. Pod kamieniami siedzą stworzenia jak kłębki, mająca długie rurki naokoło. Skoro rak się do nich zbliży, wyciągają owe rurki, jakoby palce nader długie, łapią raka, przyciągają do siebie, duszą go i wysysają. Rybom te morskie rabusie mniej szkodzą, ponieważ ryby szybko, wartko pływają i trudno je schwycić.

Jak fotografowanie służy z jednej strony do zbadania głębia morza, tak z drugiej strony do zbadania wysokości niebieskich. Już odfotografowano całe niebo nocne zasiane gwiazdami, ułożono mapę (kartę) nieba i gwiazd. Coraz więcej udoskonalają iestrumenta fotograficzne służące do fotografowania gwiazd, coraz więcej poznawają ludzie naturę światła gwiazd i do tego stósują aparata. Lecz już nawet zwyczajne instrumenta fotograficzne wystarczają do tego, aby przynajmniej większe gwiazdy fotografować. Trzeba jednak wystawiać aparata fotograficzne przez 40 minut ku gwiazdom. Wymyślono też osobne instrumenta fotograficzne ku zbadaniu słońca, światła słonecznego i tego, co z tem jest połączone, a więc n. p. ciepła na słońcu i zmian powietrza.

Jeszcze łatwiej jest fotografować księżyc. Fotografie takie powiększają się za pomocą większych instrumentów i światła dziennego i służą uczonym do badania natury księżyca.

Są w świecie małe żyjątka, których gołem okiem widzieć nie można. I tu fotografowanie pomaga uczonym. Niektóre ryby świecą w ciemności. Światło to pochodzi z miliardów drobnych żyjątek, z których każde jest tylko tysiączną część milimetra długie. Przez osobne przyrządy udało się fotografować żyjątka te przy własnem ich świetle, a uczeni mogą się teraz spokojnie przypatrywać obrazkom tych maluczkich zwierzątek i badać takowe.

W ten sposób fotografowanie coraz więcej przysługuje się ludzkości w najróżniejszy sposób i nie wiedzieć, do czego jeszcze będzie przydatne.



WALKA BYKÓW. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336.)

WYSPY PTASIE.

Od brzegów południowo - amerykańskiej republiki Peru, naprzeciw żyznej doliny Czincza (Chincha), leżą w zatoce Pisco trzy niewielkie wysepki, głośne z powodu swych pokładów guana; noszą one miano: Isla del Norte, del Medio i del Sur.

Zwykle jednak znane są one pod nazwiskiem wysp Chincha lub też poprostu wysp Guano. Ogólna ich powierzchnia wynosi 50 tysięcy kilometrów kwadratowych; najwyższe punkty wznoszą się na 60 metrów nad poziom oceanu.

Wysepki te, odludne, strome, składające się ze skał zwietrzałego gnejsu, pełnych szczelin i grot, stanowią wybitny kontrast z rozkosznemi, pokrytemi wspaniałą roślinnością dolinami rzecznemi, które leżą pomiędzy Czinczą, a portowem miastem Pisco.

Dziwny klimat panuje w tych okolicach Ameryki południowej; deszcz jest tam zupełnie prawie nieznanem zjawiskiem. W Maju, odpowiadającym naszemu Listopadowi, lekki całun mgły pokrywa wysepki, brzegi stałego lądu i oceanu. Podczas następnych miesięcy zagęszcza się on coraz bardziej, lecz zaczyna się skraplać dopiero w Październiku; w Lipcu i Sierpniu jest on najgęściejszym.

Zwykle mgła zjawia się około godziny 10-tej rano, a o 3-ciej po południu znika. Nigdy nie zgęszcza się ona w deszcz, lecz osadza się w postaci niezmiernie drobnych kropelek wilgoci, którą tuziemcy nazywają garua, co odpowiada naszemu kapuśniaczkowi. W wielu miejscowościach peruwiańskich wybrzeży od wieków nie widziano prawdziwego deszczu. Jedynie podczas silnych trzęsień ziemi, kiedy powietrze napełnione jest pyłem, spadają krople.

Ta jednostajność klimatu sprzyja nadzwyczaj powstawaniu pokładów guana, które nigdy nie spłókiwane deszczem, posiada cenne własności.

Guano właściwie jest odchodami morskich ptaków, jak mew, albatrosów, głuptaków itd., które nigdy nie gnieżdżą się na nizkich wybrzeżach lub wewnątrz lądu, lecz zawsze na niezaludnionych wysepkach lub skałach nadmorskich. Skoro tylko miejsce ich pobytu poczyna być eksploatowanem, natychmiast je opuszczają i przenoszą się na inne.

Zadziwiająca jest grubość tych pokładów guana; miliardy ptactwa przez ciąg wielu tysięcy lat brały udział w ich tworzeniu się; dziś skrzydlate rzesze, gnieżdżące się na wysepkach Chincha, są tak liczne, iż zaćmiewają słońce na podobieństwo obłoków.

Biorąc pod uwagę mnogość stad tych ptaków, powiada Czudi — łatwość, z jaką zdobywać sobie one mogą pożywienie, a także ich żarłoczność, zaledwie zdołamy pojąć, zkąd się wzięły te olbrzymie warstwy nawozu, dosięgające nie rzadko trzydziestu kilku stóp grubości.

Zdarzyło mi się schwytać pewnego morskiego ptaka; robiłem z nim przez kilka dni doświadczenia i przekonałem się, iż może dostarczyć od $3^1/_2$ do 5 uncyi nawozu. Wydajność ptaka, znajdującego się na wolności, jest bezwątpienia znacznie większą, co chwila bowiem nurka on i chwyta ryby, któremi przepełnione są wody oceanu.

Na każdej wysepce żyją miliony ptaków; jeżeli przypuścimy, że $^2/_3$ części ich odchodów przepadają w morzu, to i tak to, co zostaje, wystarcza na zwiększenie o kilka cali rocznie grubości warstw guana! W roku 1710 Feullé pierwszy zwrócił uwagę na ten nowy rodzaj nawozu; Humboldt w roku 1804 wspomniał, iż guano stanowi doskonały środek do użyznania gruntów; jednak w roku 1840 dopiero odpłynął z wysp Chincha do Anglii pierwszy okręt, naładowany niem. Doświadczenia, czynione z nowym nawozem, wydały świetne rezultaty; przekonano się, iż guano może w dwójnasób powiększyć zbiory; wyczerpane grunta orne, użyznione niem, obiecywały wyżywić dwa a nawet trzy

razy tyle ludności, co przedtem. Rzucono się z zapałem do stosowania tego taniego a skutecznego środka podniesienia urodzajności gleby; lord Stanley gorliwie go polecił liwerpolskiemu towarzystwu rolniczemu; zapotrzebowanie guana w krótkim przeciągu czasu wzrosło do tego stopnia, iż rząd peruwiański ustanowił państwowy monopol eksploatacyi wysp Chincha.

Już w roku 1857 wywieziono na 620 okrętach 490,657 ton nowego nawozu do Europy; w 10 lat potem ładowano tego towaru więcej aniżeli wszystkich innych artykułów razem, bo siedem milionów sto tysięcy centnarów metrycznych rocznie, co przedstawiało wartość dwustu osiemnastu milionów dolarów.

Przedsięwzięte w roku 1860 przez pewną hamburską firmę badanie pozwalało przypuszczać, iż pokłady guana wystarczą na bardzo długo; przewidywania te nie spełniły się jednak, gdyż w roku 1875 zapasy były już zupełnie wyczerpane wskutek niesłychanego zapotrzebowania. Od tego czasu wysepki Chincha utraciły wszelkie znaczenie.

Rozpoczęto więc poszukiwania wzdłuż całego brzegu; znaleziono guano w wielu jeszcze miejscach, głównie na skalistych przylądkach i wysepkach. Niebawem jednak i te źródła zostały wyczerpane. Najpierw wyeksploatowano pokłady t. z. »huano blanco« białego guana, które znajduje się na powierzchni i jest daleko bardziej cenione, aniżeli pochodzące z głębokich warstw żółte lub brunatne, posiada bowiem daleko większą zdolność użyźniania gruntu.

Wysepka Iquique, na której odkryto gruby na 9 metrów i liczący 220,000 stóp kwadratowych powierzchni pokład, została wyeksploatowaną doszczętnie w przeciągu dwudziestu siedmiu lat.

O zastosowaniu działania guana w Peru daje Czudi kilka interesujących wiadomości.

Peruwiańczycy, powiada ten autor, używają zwykle guana za nawóz pod kukurydzę i kartofle.

Po upływie kilku tygodni, kiedy nasienie zaczyna wypuszczać kiełki, około każdego korzenia rolnik robi za pomocą kija niewielką dziurę, wsypuje do niej garść guana i zasypuje je ziemią; w 12 lub w 15 godzin potem całe pole zostaje nawodnionem na pół dnia najwyżej. Białego guana bierze się mniej, a pole użyzniane za pomocą niego musi dłużej stać pod wodą, inaczej bowiem popsułyby się korzenie roślin. Działanie tego nawozu jest niesłychanie szybkiem; już po dwóch tygodniach pędy wyrastają do podwójnej wysokości. Jeżeli pole nawieziemy raz jeszcze potem, wtedy możemy być pewni żniwa trzy razy obfitszego, aniżeli zwykle.

Peruwiańczycy oddawna znali już własności guana; kilkaset lat temu Inkasi, t. j. królowie starożytnego Peru, wydali prawa, mające na celu ochronę ptactwa morskiego, które produkuje cenny nawóz. O ile wiadomo, jedynem źródłem guana w owych czasach były wyspy Chincha. Po wyczerpaniu się pokładów południowo amerykańskich, rzucono się skwapliwie do poszukiwań guana w innych miejscowościach. Tu i owdzie znaleziono niewielkie zapasy; w ostatnich czasach dowiedziano się od badaczy podbiegunowych okolic, iż tam guano stosunkowo częściej się napotyka, aniżeli w strefach gorących i umiarkowanych.

Samotne wysepki skaliste, leżące wpośród lodowatego oceanu, roją się stadami mew, alk, kaczek, które, będąc wolnemi od prześladowań człowieka, mnożą się tam niesłychanie.

Odkrycie nowych pokładów guana jest rzeczą wielkiej wagi ekonomicznej. Wycieńczone grunta Europy gwałtownie potrzebują nawozu; gdyby ten znajdował się w dostatecznej ilości, produkcya zboża podniosłaby się znakomicie, a wraz z nią ogólny dobrobyt. Dziś jedna tylko Ameryka, posiadająca olbrzymie nieuprawne przestrzenie czarnoziemu, może się obchodzić do pewnego stopnia bez nawozu, niebawem jednak i tam ziemia się wyjałowi.

Wtedy odkrycie nowych wysp Chincha będzie wypadkiem pierwszorzędnej doniosłości.

Miliony mew, alk, petreli, niby wielką chmurą snują się przed słońcem i krzykliwe te rzesze od rana do nocy prowadzą swe łowy; co chwila który z ptaków, jak piorun, spada, niknie w fali i wynurza się z niej ze zdobyczą.

Ze szczątków tej uczty ptasiej powstaną po upływie wieków pokłady drogocennego guana, z którego skorzystają nasi potomkowie, aby uchronić od głodu świat przeludniony.

DAWNA SZLACHTA POLSKA NA SZLĄSKU.

O szlachcie polskiej na Szląsku i jej stosunku do książąt, do duchowieństwa i poddanych mało posiadamy wiadomości. Najstarsze dokumenty podają tylko imiona np. Nikor, Obiesław, Damasław, Przybysław, Świętosz, Przybywoj, niekiedy z dodatkiem imienia ojca np. Mikołaj syn Grzegorza, Stefan syn Marcina itd., lub urzędu np. kasztelan, podkomorzy, podczaszy, podskarbi, wojewoda itd. W roku 1259 zowie się Strzesisława wdową po śp. Zbrosławie, kasztelanie opolskim, pieczęć jej zaś, która ma w herbie lwa, nosi łaciński napis: Pieczęć hrabiego Zbrosława z Zmelch. W roku 1285 wystawiają dokument hrabia Teodoryk, Adeko, Gotard i Przedwoj, synowie i spadkobiercy hrabiego Adona z Jasiony, a pieczęć ich okazuje literę A i napis: S. Ade de Scriptoris Villa. W roku 1278 zowie się hrabia Pasko synem Piotra Stoszowica, w r. 1283 występuje Jesko, syn hrabiego Bogumiła. W r. 1289 hrabiowie Przedław, Jakób, Dirseko i Piotr zowią się synami hrabiego Wincentego Strzeszowica.

Szlachta szląska była z pewnością sobie równą, jak w reszcie Polski, jeżeli zaś wielu zwano komesami czyli hrabiami, to oznaczano tem mianem urzędników, którzy nie mieli dziedzicznego tytułu hrabiowskiego jak niemieccy hrabiowie, ani też władzy nad pewnym okręgiem, zwanym w Niemczech hrabstwem.

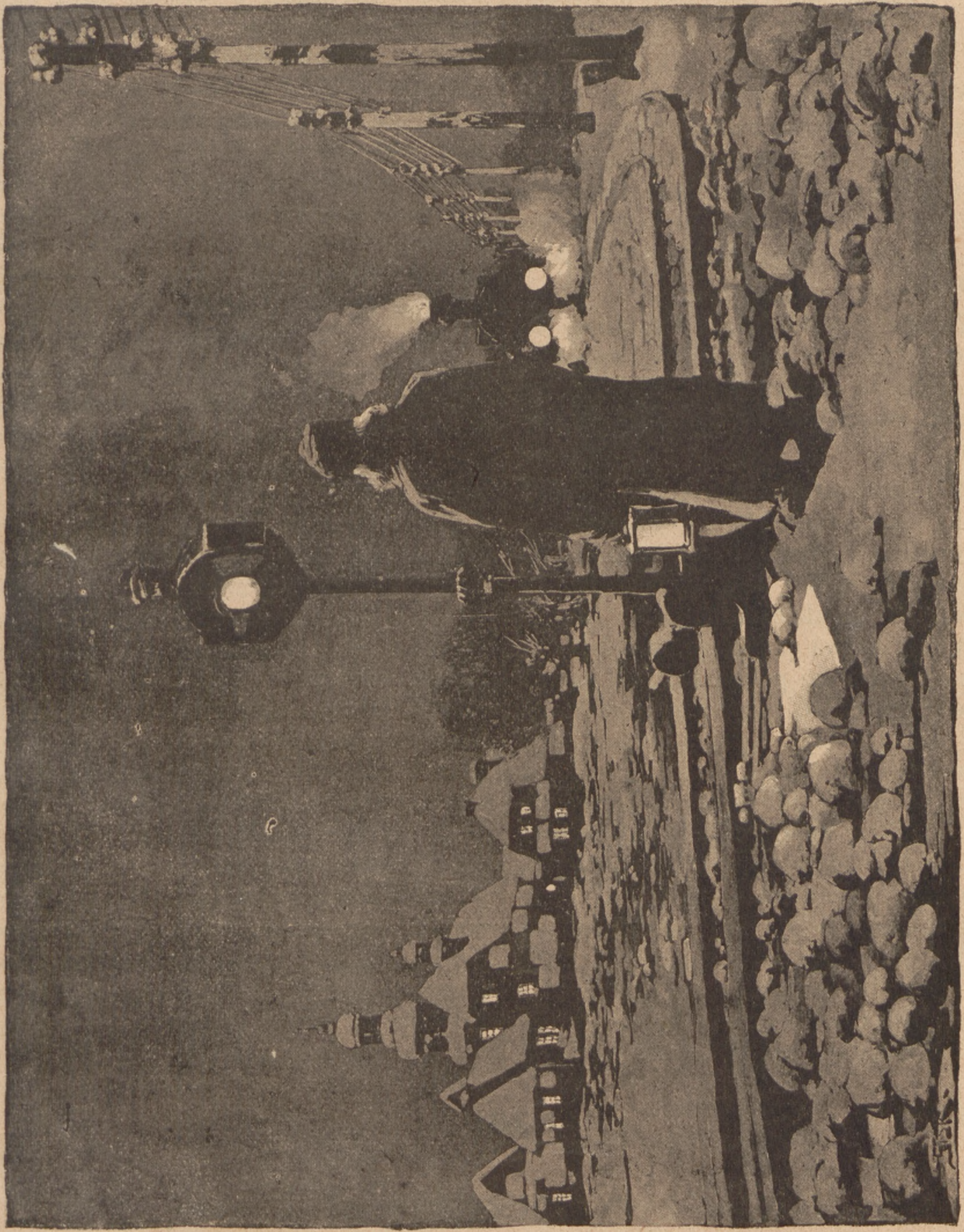
Tak samo rzecz się ma z tytułem barona, które to słowo oznaczało pierwotnie sługę wojownika, a od V. wieku przedewszystkiem lennika królewskiego. W Polsce nazywano baronami znakomitszą szlachtę, a na Szląsku wyrażenie »moi baronowie« (barones mei) miało to samo znaczenie, co wyrażenie »moja szlachta« (nobiles mei). W dokumencie z roku 1202 używa Henryk I., książę wrocławski, wyrażenia: »Z baronami, duchowieństwem i popólstwem.« Jeżeli zaś wyrazy barones i nobiles obok siekie zachodzą, wtedy oznacza tamten prawdopodobnie urzędników książęcych, ten zaś szlachtę bez urzędów.

Różnicę pomiędzy comes (hrabia) a baro trudno określić; może comes oznaczał urzędnika, baro w ogólności szlachtę. Zachodzi jednak hrabia Gniewomir z Pozarysza i syn jego Ingram, baron i kasztelan.

W roku 1226 wymienia Henryk I. jako swych milites (żołnierzy) Stefana, Emrama, Przecława, Jarosława i Janusza, nie pewna jednak, czy to mowa o rycerzach, którzy otrzymali pasowanie rycerskie, czyli też o żołnierzach szlacheckiego pochodzenia.

Niektóre imiona znachodzą się z przydomkami, np. w roku 1203 Wawrzyniec Biały, kanonik wrocławski, 1209 Wojciech Broda, sędzia nadworny, 1246 hrabia Wojciech Broda, 1226 Stefan Wysoki, kasztelan bolesławicki, 1226 Wilhelm Czarny, 1226 hrabia Przesław, zwany Szyrka, Cesko zwany Zajączek, Marcin zwany Kolomas, 1226 Jan Sybota, 1230 Godfryd Bawarczyk, 1243 rycerz i kasztelan Syboto z szlachetnego rodu Owiec

(de nobili familia Ovium) — najstarsza to wzmianka o rodzie Schaffgotschów, — 1250 hrabia Janusz, syn Bogumiła, przydomku Męka, 1250 Jan Osina, 1252



W NOCY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336).

Stefan Gęś, 1252 Janusz przydomku Ulebog, 1259 Paweł zwany Wgląda.

Z czasem kładziono przed nazwiskiem przyimek **z** (de). Tak czytamy pod r. 1209 hrabia Emram z Strzygdowa, hrabia Stefan z Wirbny. Wirbna czyli Wierzbna, to najstarszy ród szląski, który zachował rodowe nazwisko, miał zaś w herbie sześć lilii. W roku 1217 zachodzi Gebhard z Wissemburga (Wizemburg, Wiesenberg w obwodzie lignickim). Wissemburgowie pochodzić mieli z Alzacyi, mieli zaś w herbie, jak Kietlicze, woła o rozłożystych rogach.

W roku 1227 obronił Peregryn z Wissemburga kosztem własnego życia księcia Henryka Brodatego przed zamachem Świętopełka pomorskiego w Gąsawie. Ze Szląska przenieśli się Wissemburgowie do Wielkopolski. Z tego rodu pochodzili słynny Maćko Borkowicz i Bartosz z Wissemburga.

W roku 1226 wzmiankowani Henryk z Sildowa, 1239 hrabia Albert z Karcina, 1246 Strażywoj z Kobylejgłowy i Jan z Turowa, 1249 Widgo z Kamieńca i Konrad z Strzelina, 1282 Jesko syn Nikosza, brat Burharda z Muskowic.

Zwykle synowie mieli inną nazwę jak ojciec, także bracia inaczej się nazywali, nie podobna zatem stwierdzić, jakich obecnie istniejących rodów byli przodkami.

Z dokumentów z XIII i XIV wieku wynika, że ziemia była wspólną własnością rodzin jednego herbu czyli rodu, jak to też było i w innych częściach Polski. W zasadzie mógł każdy szlachcic, wedle prawa polskiego, robić z dobrami, co mu się podobało; jeśli jednak chciał je sprzedać lub komukolwiek zapisać lub fundacyą z nich uczynić, natenczas musiał żądać przyzwolenia od dzieci, a nawet od dalszych krewnych, gdy dzieci nie miał, gdyż do posiadłości jego miał w takim razie prawo cały ród, z którego pochodził. Jeżeli bez tego przyzwolenia pozbył się włości lub jej części, wtedy sprzedaż, fundacya, zapis były prawnie nieważne i każdy z krewnych, wróciwszy cenę kupna, mógł zwrotu majątku zażądać, akt fundacyi lub legatu unieważnić. Córki musiały ustępować dóbr ziemskich ojcowskich stryjecznym braciom.

Tak w roku 1202 potwierdza Ingram, baron i kasztelan książęcy, darowiznę wsi Ujazdu, uczynioną przez ojca, hrabiego Gniewomira z Pozarysza klasztorowi lubiążskiemu.

Gdy w roku 1230 Henryk I. znajdował się w Krośnie, skarżył się przed nim opat Günther z Lubiąża na niejakiegoś Roseka, że go niepokoił o dobra darowane klasztorowi lubiązskiemu przez hrabiego Stojgniewa. Pozwany przed księcia Rosek nie chciał bez stryja wdawać się w rozprawy, wreszcie udało się księciu za pośrednictwem kilku kasztelanów przyprowadzić ugodę do skutku. Opat dał Rosekowi 20 marek, dwa złote pierścienie i pancerz, który należał był do Stojgniewa, Rosek zaś zrzekł się praw swoich. Widocznie chodziło tu o prawo familijne Roseka do dóbr, które krewny jego Stojgniew darował klasztorowi bez jego przyzwolenia.

Najwidoczniej okazuje się owo prawo familijne w sprawie klasztoru kamienieckiego. W roku 1207 dał biskup wrocławski Wawrzyniec proboszczowi kanoników regularnych w Wrocławiu Wincentemu z rodu Pogrzelów, jednego z najstarszych na Szląsku, zamek Kamieniec, aby tam klasztor założył. W trzy lata później potwierdził tenże biskup w imieniu Stolicy Apostolskiej powstałą tamże kongregacyą i dał jej dziesięcinę z wielu miejsc, mianowicie ze wsi Rogowskiej, Istebcy i Grochowiszy, które należały do synów Jaracha.

(Dokończenie nastąpi).

Jak to żyd sprzedawał krowę.

Żyd Icek Feinkerl miał jednę wielką słabość: lubił bydłem handlować. Włóczył się po jarmarkach z krowami, które chudością i brudem odstraszały nabywców.

— Co to szkodzi, że są chude, za to mają tłuste mliko, a brudne to one nie są wcale, to już taki echt szwajcarski gatunek — zapewniał Icek interesowanych.

Było to na jednym z większych jarmarków. Sprzedał już dwie krowy, pozostała mu jeszcze jedna, mała, zbiedzona, zwyczajna chłopska krowina, lecz o niezwykle dużem wymieniu.

— Panowie i godne osoby, — wołał Feinkerl — to jest krowa, jakiej nigdzie nie buło, mało żre, a dużo mlika daje! To jest fein gatunek, osobliwoszcz! Mame od te szlicne krowkie buło troche szwajcarskie, a tate całkiem holenderski! Auf meine munes... Co una ma za wymieńcze! Takiego wymieńcza jak una ma, żadna krowa nie miała na cały świat! A co tam jest za mliko! I słodkie i kwaszne i ser i szmietane i masło i różne dełycye!

Ludziska potrząsali głowami: niektórzy pootwierali gębę z podziwu.

— Jagna, — szepnął chłop z boku stojący do baby, pożerającej wzrokiem osobliwszą krowę — Jagna, możeby tak tę gadzinę kupić?

— Musi być droga — westchnęła baba.

— Popytaj...

— Dużoż to Icku chceta za krowinę?

— Krowinę? — przeciągnął żyd. — Przecie to cała krowa!... Organist z Łykałki dawał mi sześćdziesiąt papierków... Ona mnie samego kosztuje sześćdziesiąt dwa.

— Za ile? — powtórzył markotnie chłop, słysząc takie sumy.

— Jak brat bratu, żeby nie obełgać, oddam pani Agacze za sześćdziesiąt pięć! Potrzebuje przecie zarobicz papierka; prawda pani Agato? — zwrócił się z galanteryą Feinkerl do baby.

— Juścić przez zarobku trudno, ale mnie się widzi, co wy Icku cyganicie.

— Co pani Aga mówi? Mnie cały powiat zna, żebim tak zdrów buł...

— Oj zna cię, zna szachraju jeden! — wpadł nagle głos ze środka zebranych i za nim ukazał się pan Dratewka, generalny opiekun nóg chłopskich i odcisków.

— Co to jest szachraju? — zaperzył się Feinkerl. — Pilnuj pan swoje kopito, tu nie potrzebujesz nos wetchnącz.

— Ludzie, jak mego patrona kocham, nie kupujcie krowy od niego!...

— Bez cóż tak? — zagadnął podejrzliwie chłop.

— Lacego? — rzekła na to baba.

— Zaraz się pokaże — ciągnął Dratewka, zmierzając ku krowie.

— Co sze pokaże? Gdzie sze pokaże? — wrzasnął żyd, zastępując szewcowi drogę.

— Na bok żydzie, bo szewc idzie! — huknął basem pijany Dratewka.

— Niech wszistkie kopita, dżurawe buty i zgniłe skóry idą, to dla nich tu nima drogi! — krzyczał żyd, zasłaniając hałatem krowę.

— E, won do djabła, pókim grzeczny! — syknął szewc, chwytając żyda za bary i wywijając nim młynka.

— Gewałt! Rozbój! Policaj! — darł się Feinkerl uwięziony w tłumie ciekawej i rozbawionej gawiedzi.

Tymczasem Dratewka obejrzał uważnie potulnie stojące bydlę, dobrał mu się do ogona i pociągnąwszy lekko, podniósł rękę w górę.

— Patrzcie! — zawołał.

— Jagna, widzisz? — szepnął chłop.

— Widzę...

— Co to jest.

— Juści ogon...

— To nie ogon, — objaśnia z tryumfem Dratewka — to jest prawdziwy kołtun żydowski!...

— Bójta się Boga! — rozlegają się zdumione głosy.

— A wymię... wymię, jak mego patrona kocham, wydmuchane...

— Jagna — zaczął znowu chłop.

— Co?

— Słyszysz?

— Juści słysę...

— To ci nieokrzcony!

— Pieska dusza!...

— Do magistratu z nim! — zadecydował Dratewka, ciągnąc krowę za sobą.

— Do magistratu! — powtórzyli słuchacze i popychając oszołomionego Feinkerla, kułakowali go przez drogę.

W magistracie toczyły się już rozmaite spory. Jakiś wieśniak przyłapał małego żydziaka na kradzieży gęsi, żydówkę przyprowadzili z fałszywą śmietanką, to znowu pies golibródy wypił babie mleko. Chłopi przyprowadzili psa i jego pana; pod nogami skowycząc, plątała się jakaś inna pśina. Zgiełk i rejwach.

— Oszustwo, panie burmistrzu, ujawnione oszustwo i stwierdzone świadkami, — zawołał Dratewka, wszedłszy do kancelaryi.

— Co się stało?

— Feinkerl, ten sam, co mnie tak podle orznął w przeszłym roku, znowu się zjawił z fałszywą krową na jarmarku, jak mego patro...

— Dać go tu!... — przerwał ojciec miasta.

Dratewka skoczył po Icka i za chwilę wciągnął go do kancelaryi, za nimi wtoczył się tłum.

— Baran! Porządek! — krzyknął burmistrz.

Woźny zawinął się szybko z przybyłymi, zostali tylko główni świadkowie, żyd i Dratewka. Spisano protokół i zatrzymano Icka i krowę. Znawcy i weterynarz stwierdzili podpisami oskarżenie Dratewki, jako ogon był fałszywy, wymię szpikulcem przekłute, wydmuchane i spuchnięte.

Sprawę oddano do sądu.

Icek wyrokiem jednogłośnym skazany został na dłuższy wypoczynek we więzieniu. Udowodniono mu bowiem wiele nieczystych sprawek, siedział więc i rozmyślał nad marnościami tego świata.

— Co to szkodzi, — dumał — że mnie poprosili trochę szedżyć, ale za co te żidki takie biedne, że ich nawet szewcy prześladują?...

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Syngalezka. W tak zwanym oceanie indyjskim na południe od Azyi leży wyspa zwana Ceylon, ale wyspa co się nazywa, bo mająca 1160 kwadratowych mil obszaru, a przytem zdrowa, piękna i żyzna. Wnętrze jej zamieszkuje bardzo inteligentne plemię Syngalezów, liczące około 2 mil. głów, a odznaczające się także powierzchownie bardzo korzystnie od ludów mieszkających na innych wyspach azyatyckich, jak to się z obrazka na stronie 324 przekonać można. Bywają podobno nawet Syngalezki, które się co do piękności mierzyć mogą z europejskiemi kobietami.

Walka byków. Obrazek na stronie 328 przedstawia nam scenę z życia na preryach czyli błoniach bezbrzeżnych amerykańskich, w których wielcy hodowcy utrzymują tysiące sztuk bydła w pół dzikim stanie. Pomiędzy tak ogromnymi stadami nie trudno oczywiście o takie zajścia, jak na obrazku przedstawiono, a wtedy zadaniem konnych pastuchów, znanych pod nazwą »cow-boy« (czytaj kauboj), jest rozpędzić nahajkami rozjątrzone zwierzęta. Pastuchy ci zresztą są nie wiele co więcej okrzesani od powierzonego sobie bydełka; pomiędzy nimi wieczna panuje nienawiść i nieustanne bójki, a żyjąc na puszczach niestety, nie mają nikogo, ktoby ich rozganiał jak te stworzenia nierozumne.

Noc! Wokoło cicho i głucho, a mróźno, że aż śnieg pod stopami skrzypi. Wszystko co żyje odpoczywa po całodziennych trudach i szuka we śnie pokrzepienia do nowej pracy, bo i jutro i pojutrze dzień roboczy! On jeden tylko nie śpi. Oddawszy się raz na usługi ludzkości, pozbył się zarazem swej niezależności i teraz nie rozporządza już swym czasem. W tem wielkiem mrowisku, zwanem ziemią, ginie on na skromnem stanowisku wśród pędzącej nieraz na oślep ludzkości, a jednak i jego praca nie gorsza od innych. Ileż to tysięcy ludzi życie zawisło od czujności stróża kolejowego!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Ziółka jako leki.

Bóg jedną ręką karze, bo sprawiedliwy, drugą ręką goji rany za karę zadane, ponieważ jest miłosierny. Za grzech dopuścił Bóg na ludzi choroby, jako karę, lecz zarazem kazał ziemi wydawać zioła, w które włożył siły leczące choroby lub łagodzące bóle. Człowiek musi rozumem wyszukiwać sobie zioła na każdą chorobę. Zwierzęciu dał Bóg instynkt, czucie, które prowadzi zwierzę do ziela jakiego potrzebuje. To spostrzeżono mianowicie u zwierząt dzikich, nad któremi człowiek opieki niema. Ludzie od samego początku leczyli się ziołami, których sobie szukali na polu lub w lesie, lub później w ogrodach hodowali. Lekarze z początku też leczyli ziółkami, które sami zbierali.

Kiedy odkryto Amerykę, lekarze zaniechali po wielkiej części dawne ziółka jako przestarzałe i leczyli środkami zamorskimi. Lud jednak trzymał się ziółek, i nadawał im miana, które świadczyły o siłach leczniczych takowych.

Jak we wielu innych rzeczach tak i w tem lud się nie mylił, ponieważ zioła od dawien dawna znane lepszemi są lekami, aniżeli wiele nowych środków sztucznie preparowanych, które są tylko droższe i dają zarobek aptekarzom.

Są też zioła trujące, z których można robić lekarstwa, lecz to tylko mogą robić lekarze i aptekarze. Lecz większa część ziółek nie jest niebezpieczna, byle nie za wiele używać, bo »co za wiele, to nie zdrowo«. Zioła po większej części rosną wszędzie i każdy bez kosztów może je sobie zebrać.

Kiedy nie było tyle aptek, nie było dobrych dróg, nie było tyle lekarzy, wtenczas po domach miały gospodynie apteczki i leczyły domowników i całą wieś czasem, głównie zaś w apteczkach domowych były różne ziółka. Dobrze się też znali na ziółkach owczarze, ponieważ przez całe lato, a często już wiosną przebywają na polu, patrzą na to, jak ziółka i kwiatki ze ziemi wyrastają, rozwijają się, kwitną i owoc wydają. Znają więc zioła i próbują do czego są przydatne. Zresztą dawniej rodzice dzieciom powiadali, jakie ziele jest na jaką chorobę. Czasem też stare kobiety miały szczególny dar leczenia ziołami, znały i próbowały różne zioła u chorych ludzi i zwierząt. Czasem też oszukiwały takie kobiety niby mądre.

To wszystko jest znakiem i dowodem, że w ziołach i ziółkach znajdują się siły leczące.

Zresztą i w aptekach teraźniejszych znajduje się wiele leków ze ziółek. Po wielkiej części wyszły ziółka z używania. Ani lekarze, ani po domach ludzie nie używają takowych tak jak dawniej. Dopiero w nowszych czasach zaczynają ludzie zwracać się znowu do naturalnych sposobów leczenia i do ziółek. Niech więc każdy próbuje takowych, bo są pod ręką, łatwo je mieć i użyć. Niech używają ziółek mianowicie ludzie na wsi, którzy niejako mieszkają pomiędzy ziołami, którzy niechętnie udają się do lekarzy i do aptek, żałują wydatku i nie mają zaufania do sztuczniejszego leczenia. Zwracamy uwagę na niektóre zioła wypróbowane, podajemy na które choroby są przydatne.

Anyż, Koper (Fenchel), Kminek (Kümmel).

Trzy te rośliny są sobie pokrewne i wszędzie znane. Zwykle używa się tylko nasienie tych roślin, które zawiera w sobie wiele tłuszczu i jest bardzo korzenne. Siły leczące są u wszystkich równe, dla tego używają się pospołu.

Łyżkę stołową nasienia gotuje się we filiżance mleka około dziesięć minut i pije się ciepło. To jest dobry środek na kolki.

Nasienie suszy się, tłucze na proszek, którym się posypuje potrawy, zupy i t. p. Dobry środek przeciw wiatrom w żołądku i w brzuchu.

Olejek z anyżu i kopru, który można dostać w każdej aptece, równie jest skuteczny na wiatry, a używa się dwa razy dziennie nalewając 4—7 kropli na cukier. Pół łyżki stołowej proszku koperkowego gotuje się we wodzie a ma się dobrą wodę na oczy. Anyż i koper ma się w ogrodach, kminek znajduje się na łąkach niskich i pomiędzy trawą w ogrodach. Czasem się sieje umyślnie i sprzedaje aptekarzom.

Praktyczne rady.

— **Sok cytrynowy** znany jest jako skuteczne lekarstwo na podagrę. Kto cierpi na robaki, niechaj pije często limoniadę ze świeżej, wyciśniętej cytryny, nie z esencyi cytrynowej. Usuwa ona także boleści pochodzące z kamienia w pęcherzu, boleści we wątrobie i żółtaczkę. Sok cytrynowy dobrem jest lekarstwem na szkorbut; majtkowie najwięcej szkorbutowi ulegają i dla tego powszechnie sok cytrynowy piją. Cytryna pokrajana w talarki i przyłożona na odmrożone części ciała goi, tak samo rozmiękcza i usuwa nagniotki; kawałek cytryny, położony na nagniotek przez jednę noc, tak rozmiękczy skórę, że łatwo ją potem zeskrobać. Narostki na ciele wyniszczyć można przy pomocy częstego napawania sokiem cytrynowym. Kto ma łupież na głowie, niechaj naciera głowę przekrajaną na pół cytryną. Prócz tych wymienionych jeszcze jest dużo przypadłości i chorób, na które cytryna dobrem jest lekarstwem.

— **Gipsowe figury**, podlegające tak łatwo zniszczeniu, najlepiej czyścić następującym sposobem. Ugotować gęsty krochmal (szkrubek) i pędzlem posmarować całą figurę, dać ją potem na słońce, albo w ciepłym pokoju trzymać, dopókąd nie wyschnie. Krochmal zbierze kurz i wszystkie nieczystości same odpadną. Resztki można zebrać cieniuchnym nożykiem. Można

je także posmarować cynkiem rozpuszczonym we wodzie, do którego dodaje się guma arabska.

— **Aby w lecie żelazne piece nie rdzewiały,** należy je od czasu do czasu posmarować naftą. Tę samę usługę oddaje olej stearynowy.

— **Tłuczona kawa** jest o wiele smaczniejsza jak mielona. Turcy, którzy, jak wiadomo, najlepszą piją kawę, nigdy jej nie mielą, lecz tłuką w moździerzu.

— **Szklanki i w ogóle szkło** najlepiej wymywa się, gdy do wody doda się kwasu solnego (na 1 litr wody 12—15 kropel). Kwas solny zbiera wapno, które osiada się na karafkach i szklankach. Mięszaninę tę można polecić także do czyszczenia okien.

— **Zniszczone sukienne kołnierze** u surdutów polać zimną deszczówką, a potem raz koło razu rozciekiem amonium. Brud zdjąć można nożem. Gdy cały kołnierz tak się obdrapało, zmywa go się gąbką w czystej wodzie.

Rozmaitości.

* **Szybkość telegrafu.** Z Manchesteru (Anglia) telegrafowano do Victoryi (British Columbia). Wysłanie depeszy i otrzymanie odpowiedzi wymagało tylko 90 sekund czasu. Prawie nie do uwierzenia! Długość drutów telegraficznych tam i z powrotem wynosi 1800 mil angielskich czyli 22500 kilometrów!

* **Koleje żelazne na kuli ziemskiej.** W roku 1892 długość wszystkich kolei na kuli ziemskiej dosięgła 653937 kilometrów. Z pięciu części świata najdłuższą sieć kolejową posiada Ameryka, mianowicie 352,230 kilometrów i tym sposobem jej koleje o 50 tysięcy kilometrów przewyższają długość wszystkich kolei żelaznych w innych częściach świata. Drugie miejsce zajmuje Europa, mająca 232,316 kilometrów kolei żelaznych. Azya pomimo swej ogromnej przestrzeni posiada najmniejszą sieć kolejową, mianowicie 37,367 kilometrów. Afryka również posiada bardzo mało kolei, przeważnie w Algerze i Egipcie, oraz w koloniach angielskich na południe. Co się tyczy Australii, to chociaż ta część świata pod względem rozległości znacznie ustępuje Afryce, posiada jednak dwa razy więcej od niej kolei.

* **„Kin-Pan.“** Największe pismo chińskie »Kin-Pan« jest zarazem prawdopodobnie i najstarszem na świecie, założone bowiem zostało około roku 911 wedle naszej rachuby czasu. W początkach swego istnienia nie wychodziło regularnie i dopiero około roku 1361 stało się pismem tygodniowem. Od roku 1840 wychodzi trzy razy dziennie. Wydanie poranne na żółtym papierze jest poświęcone handlowi, południowe białe zawiera rozporządzenia rządowe i nowiny, wieczorne na czerwonym papierze artykuły odpowiadające naszym wstępnym. Sześciu, iście po królewsku wynagradzanych »uczonych«, pisze stale do tej gazety, która jednakże z powodu zbyt wysokiej ceny prenumeracyjnej nie posiada więcej nad 14,000 abonentów.

* **Masonerya.** Pewna paryzka gazeta podaje następujące cyfry, dotyczące ilości wolnych mularzy na całej kuli ziemskiej: w Europie 7,966,140; w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej 5,805,320; w Kanadzie i Ameryce południowej razem 4,581,238; w Azyi i Australii 695,955; w Afryce z Egiptem 87,882; na wyspach Kubie i Portorico 19,719. Razem 19,156,260, podzielonych na 141,385 lóż. Od roku 1880 przybyło 533,140 członków, a 4320 lóż. Jak widzimy, masonerya stósunkowo najsilniej rozwinięta jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Tutaj to, mianowicie w Charleston, znajduje się podobno rezydencya wielkiego mistrza mistrzów wszystkich lóż masońskich na świecie.

* **Wyludnianie się Francyi.** Wzrost ludności francuskiej za czas od 1886 do 1891 r. wynosił niewielką cyfrę 124,289 głów. Przyrost ten na 40 milionów mieszkańców jest wprost śmieszny. Ludność miejska wzrosła bardzo silnie, a natomiast wiejskiej ubywa. Ludność w ogóle z drobnych miasteczek wędruje do większych, z większych zaś do Paryża. Stolica jest jakby magnesem ściągającym ludność zewsząd. Nowoczesny militaryzm mocno przyczynia się do tego. Rekrut wyrwany ze wsi, a przesadzony do miasta, kiedy raz zakosztował słodyczy wielkomiejskich, nie chce siedzieć na wsi, ale po odbyciu służby wynosi się z rodzinnego zakątka, aby zamieszkać w mieście.

* **Drzewo Chinowe.** Nie ma zapewne człowieka, któryby nie doświadczył na sobie dobroczynnego wpływu chiny, rośliny spotykanej najczęściej na stokach Kordylierów peruańskich. Wszystkim znane są przymioty tej rośliny, grającej bardzo ważną rolę w medycynie. W dokumentach historycznych zachowanych z czasów Kolumba, (około 1500) i innych, o roślinie tej nie ma wzmianki i dopiero w opisach Ameryki z XVII stulecia znajdujemy pobieżne wiadomości o przymiotach leczniczych chiny i przytoczone opowiadanie o pewnym wędrowcu, który wyleczył się febry, pijąc wodę z kałuży, gdzie leżały gałęzie tego dzewa. W r. 1838 żona namiestnika peruańskiego, zachorowawszy na febrę, wyleczyła się tłuczoną korą drzewa chinowego, o którego własności leczniczej Indyanie donieśli jej mężowi. Po powrocie do Hiszpanii namiestnik rozdał swym znajonym spory zapas melonej chiny i wkrótce potem w Madrycie a następnie w Rzymie i w Paryżu stał się znanym »cudowny środek« na febrę. W kilka lat później Jezuici przywieźli z Peru paki kory chinowej, której dali nazwę »jara chuccu« (kora febryczna). Anglik Thalbot pierwszy moczył korę chinową w mocnem winie i ta nalewka stała się jedynym specyficznym środkiem przeciwko febrze. Król Ludwik XVI kupił od Thalbota sekret przyrządzania wina chinowego, które podawano wówczas przy stole królewskim. Francuz Condamin, wysłany w połowie zeszłego stulecia do Peru, pierwszy opi-

sał szczegółowo roślinę. Botanicy hiszpańscy przez długi czas badali warunki, w których drzewo chinowe może pomyślnie się rozwijać. Jeden z francuskich podróżników, zwiedzających wschodnie stoki Kordylierów peruańskich, zauważył, iż przemysłowcy w ostatnich czasach prowadzą okropną gospodarkę w lasach chinowych i wycinają taką masę tego drzewa, iż wkrótce może ono zniknąć z powierzchni ziemi.

* **Sposób na sposób.** Dla uchronienia się od zgubnej działalności torped (t. j. podwodnych przyrządów, które uderzywszy przodkiem o ścianę okrętów, wybuchają), dzisiejsze okręty wojenne używają siatek metalowych, które rozpinają się naokół okrętu. Torpedo wpadłszy w oka siatki, wybucha, nie dotykając okrętu, mówiąc językiem marynarskim: zdycha, nie czyniąc wielkiej szkody. Niebawem jednak ochrona ta nie wystarczy, albowiem jeden z oficerów marynarki duńskiej wynalazł t. zw. »nożyce siatkowe«, które przymocowane do przedniego końca torpeda, przecinają siatkę, dając dostęp torpedzie do samego okrętu. Próby z tym nowym przyrządem zniszczenia podjęte przez duńskie ministerstwo marynarki, dały doskonałe rezultaty.

* **Owies pochodzi** z północnej Afryki, cebula z Egiptu, pietruszka z Sardynii, brzoskwinie z Persyi, groch polny z Egiptu, kartofle z Ameryki, szpinak z Arabii, słonecznik z Peru, a orzech zwany włoskim z Persyi.

ŻARTY.

Żandarm do złodzieja, którego zdybawszy, prowadzi, a który stawia z swej strony opór:

— No, jakże ty złodzieju, pójdziesz albo nie, bo jak nie, to...

— Proszę bardzo, tylko nie po grubiańsku i grzecznie. Wiesz pan przecie, z czego masz utrzymanie swoje. Z czegobyście żandarmi żyli, gdyby nas nie było?

— A ty smarkaczu, czemu się tak ostro stawiasz twemu majstrowi? Nie wiesz to, że on jest twoim chlebodawcą?

— A bo to prawda? Przecież nie pan majster, tylko pani majstrowa chleb nam daje.

Dwóch ludzi spotkało się na wązkiej drodze, jeden drugiemu nie chciał ustąpić.

— Ja nigdy głupcom nie ustępuję, — rzekł jeden.

— Ja zawsze — odrzekł drugi i ustąpił.

I to racya!

Profesor: Jakie zęby dostaje człowiek najpóźniej?

Uczeń: Sztuczne!

Nic nie zrobił.

Pryncypał: Od kwartału nie masz pan u mnie miejsca.

Podwładny: Panie pryncypale, cóż ja zrobiłem?

Pryncypał: Nic — i dla tego właśnie nie chcę pana dłużej trzymać.

Dobre sumienie.

Sędzia: Jakież ty masz sumienie, popełnić podobną zbrodnię!?

Winowajca: O dziękuję, panie sędzio, jeszcze dość dobre; toć dotąd tak go rzadko używałem!

Aktor: Mój kochany, pożycz mi pięć rubli.

Przyjaciel: Chętnie bym ci pożyczył, ale wątpię, czy będziesz kiedy w stanie mi oddać.

Aktor: Czyż nie wiesz, że w dzisiejszym dramacie kradnę w trzecim akcie czterdzieści tysięcy dukatów?

Odprawa natręta.

Kawaler: I znowu muszę użalić się przed panią, że wczoraj zgubiłem moje serce. Czy go niema czasem u pani?

— Każę poszukać, może służba znalazła.

Matka: Jeżeli cię karzę, czy sądzisz, że to dla mojej przyjemności?

Jaś (płacząc): A więc dla czyjej?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.